

Tułacze i osadnicy. Rozważania babim latem tkane

W miarę jak jesień zaczyna ogarniać niebo i ziemię, słońce stacza się powoli ze sklepienia, pozostawiając za ledwie wspomnienie własnego blasku, zawieszony w splotach pajęczych nici albo w płomieniach klonowych liści. A może tak naprawdę to nie ono pogrąża się coraz bardziej we wrzesniach i październikach, tylko ja – wszystkie swoje zadumy i smutki określając zbiorczym słowem „jesień”? Wytworzony w czerwcu, w czasie ceremonii Alban Hefin ogień pasji powoli się już wypala, by wraz z kolejnymi podmuchami zimnego północnego wiatru przekształcić się w dojrzały ogień jesieni. Ogień plonów i spełnienia. Niezbędny, by z wielu biegnących w różnych kierunkach ścieżek wybrać wreszcie jedną, przy niej zacząć budować trwałe zimowe schronienie, a w środku zawrzeć wspomnienie światła, podobnie jak słońce zaklina swój blask w liście i pajęczyny.

Nie jest łatwo „pozbiierać znów wątki dawnego życia” i z nomadycznej smagłej swobody skierować się ku temu, co osiadłe, bezpieczne, stabilne. Zaczyna się od rzeczy najprostszych: podlania pelargonii na parapetach i zarobienia zakwasu na chleb. To są czynności, których w podróży nie uświadczysz, bo wymagają od ciebie czegoś więcej niż pragnienia, kaprysu, zachcianki. Do nich potrzeba gotowości: miejsca, czasu i uwagi, podobnie jak do podtrzymania ognia na palenisku czy do uprawy ogrodu. Nie można się za nie zabrać, a w chwilę potem porzucić jak gazetę czytaną w pociągu albo danie w pięć minut. Czy w swoim zagonionym, aktywistycznym życiu potrafię zdobyć się nie na kaprys i zachciankę, ale właśnie na gotowość? A jeśli nie, to czy mogę w ogóle mówić o egzystencji zrównoważonej i harmonijnej, czy raczej o jej namiastce, o skrojonym na konsumencką modłę modelu „eko”?

Dobrze się jeździ z miejsca na miejsce i daje popis swego potencjału aktywistycznego. Ale przecież nawet, gdy maszerujesz wiele kilometrów przez pustynię, musisz w końcu przystanąć i napić się wody. Skąd jej zaczerpniesz, jeśli nie było przed tobą człowieka, który zbudowałby studnię? Współcześni nomadzi przechodzą niejako do porządku dziennego nad faktem, że ktoś inny buduje za nich studnie, zbiera owoce i obsiewa pola. Ktoś, kto w przeciwieństwie do nich samych nie może pozwolić sobie na płynność i mobilność. Ktoś, kto za nas przywiązuje się do „ziemi” po to, byśmy my mogli „przywiązywać się do drzew” – w glorii i chwale wpadać raz na jakiś czas, żeby ocalać od zniszczenia, pisaną już z wielkiej litery „Ziemię”. A wszystko z tą paternalistyczną pewnością, że to właśnie My wiemy najlepiej, jak ją ocalić, zaś Oni mogą i powinni dla własnego dobra zastosować się do naszych zaleceń. Jesteśmy gracjami na cudze konto, podróżnikami na nie swoim bilecie, którzy chcąc bronić tego, co dla nich drogie, w przystanku pomiędzy jednym dworcem a drugim, w komunikacji na długość światłowodu zbyt często zapominają, że to, czego bronią, istnieje naprawdę i nie rozmywa się w niebyt wówczas, gdy w stukocie kół pociągu znika nam z oczu.

Czy taki podział pracy na tych, którzy żywią oraz tych, którzy bronią, jest w istocie najlepszym z możliwych? I czy nie jest on przypadkiem reprodukcją charakterystycznego dla świata zglobalizowanego rozłamu na mobilną Północ i przymusowo osiadłe Południe? Podziału na tych, którzy podejmują decyzje oraz na tych, za których się decyduje. Tych, którzy zawsze wiedzą najlepiej i tych, którzy nie mają innego wyboru, jak tylko przystać na wszystkoistyczną wiedzę tych pierwszych. Jakie mam prawo do zaprowadzania równowagi w świecie ja, której życie samo nie jest wystarczająco zrównoważone? Chleb nie wyrasta mi taki, jak bym chciała, nie umiem tkąć ani wyplatać koszyków, a mój ogród już trzeci rok z rzędu zalewa woda tylko dlatego, że w ciągłych rozjazdach nie mam nawet czasu, żeby coś z nim zrobić.

Czy nie jest złudnym poczuciem, że potrafimy pomagać innym, skoro nie jesteśmy w stanie pomóc nawet samym sobie? Cywilizacyjna pycha nie chce dopuścić do faktu świadomości, że być może nie

mamy krajom Południa niczego do zaoferowania. Pycha aktywistyczna jest tylko jej pomniejszym odzwierciedleniem. Czasem znacznie łatwiej jest opatrywać cudze rany niż wziąć się za własne. Ból towarzyszący zetknięciu ze spustoszeniem, które poczyniliśmy w swoim wnętrzu, wydaje się być zbyt wielki, abyśmy mogli go znieść. Niczym czarownica w afrykańskiej baśni o Kirikou, boimy się wyciągnąć cierń tkwiący w naszym kręgosłupie, w więzi łączącej nas z ziemią. Wiedzeni nienasyconym głodem duszy, usiłujemy zaspokoić go tym, co wielkie, wspaniałe, niezwykle. Poszukujemy ogromu wrażeń, a zapominamy o rzeczach tak małych, że niezauważalnych. Czy płomień trawiący naszą duszę i wprawiający stopy w nieustanny ruch rodzi się z wewnętrznego żaru, czy jest może raczej nieuleczoną raną, która jątrzy się w sercu człowieka Zachodu? A ustawiczny pęd ku przemieszczaniu się - to zew drogi w duszy wędrowca czy rozpaczliwa ucieczka przed demonami współczesności?

Nie istnieje i nie może istnieć jedna odpowiedź na te pytania w rzeczywistości płynnej, rozbitej na fragmenty. A zarazem nie ma od nich odwrotu, więc może warto właśnie teraz, gdy niespokojne myśli zwracają się znowu do wewnątrz, zapytać siebie: jestem nomadą czy uciekinierem? Wybawcą czy kolonizatorem? Tym, który wykształca z ziemią więź, czy raczej milion więzi - pięknych, urokliwych, lecz delikatnych i nietrwałych, jak nitki babiego lata na wietrze...

Monika Stasiak